

Później

„Biegnij”.

Jest ciemno. Tak ciemno. Chmury mkną po antracytowym niebie, przesłaniając księżyc i gwiazdy. Wilgoć wypełnia mi płuca, a gdy ostro wciągam powietrze, zalewa mnie fala mdłości.

Szybko tracę siły. Moje adidasy uderzają o beton i chyba już nie słyszę kroków za plecami, ale trudno to stwierdzić przy tym wyjąym wietrze.

Ukradkowo zerkam przez ramię, a moje stopy zbaczają na miękkie podłoże. Tracę równowagę i się potykam. Wyciągam przed siebie ręce, żeby złagodzić upadek. Uderzam bokiem twarzy o coś twardego, co rozcina mi skórę. Szczęka się zatrzaskuje, a zęby przygryzają język. Wnętrze ust wypełnia się krwią. Gdy ją przetykam, w gardle wzbierają żółć i strach.

„Ani piśnij”.

Boję się. Tak bardzo się boję.

Leżę na brzuchu. Nieruchomo. W ciszy. Czeka. Piecze mnie wnętrze dłoni. Policzek pulsuje bólem. Czuję w nozdrzach odór gnijących liści. Żołądek burzy się, gdy powoli przesuwam się do przodu, wbijając łokcie w wilgotną glebę. Lewy. Prawy. Lewy. Prawy.

Leżę teraz w zaroślach, otoczona drzewami. Ciernie wbijają się w skórę i czepiają ubrania, ale nie podnoszę się w nadziei, że jestem niewidoczna. Jednak gdy chmury się rozstępują, w świetle księżycy zerkam na rękaw bluzy z kapturem, która, choć to niewiarygodne, wciąż jest biała mimo plam błota. Przeklinam pod nosem. Głupia. Głupia. Głupia. Ściągam bluzę i chowam ją pod krzakiem. Szczękam zębami z zimna. Ze strachu. Po mojej lewej gałązka pęka pod czyjąś stopą, a ja instynktownie podrywam się i kucam pochylona do przodu, jak biegacz szykujący się do sprintu. Serce mi dudni, ale znowu przebija się przez nie ten dźwięk.

Kaszel. Za mną. Blisko. Za blisko.

„Biegnij”.

Ruszam do przodu, zataczając się. „Dasz radę”, powtarzam sobie, ale to kłamstwo. Wiem, że długo już nie wytrzymam.

Chmury znowu zasnuwają niebo i ciemność staje się przytłaczająca. Na moment zwalniam, świadoma, że nie widzę już, gdzie stawiam stopy. Podłoże jest pełne wybojów, a ja nie mogę ryzykować, że skręcę kostkę albo jeszcze gorzej. Co bym wtedy zrobiła? Jak miałabym uciec? Wiatr zrywa się i odpędza chmury, a ja kątem oka dostrzegam poruszający się cień. Odwracam się i zaczynam krzyczeć.

„Biegnij”.

1.

Teraz

W każdy wtorek między czwartą a piątą po południu opowiadam kłamstwa.

Vanessa, moja terapeutka, poprawia okulary w szylkretowych oprawkach, zsuwając się jej z nosa, i podtyka mi pudełko chusteczek, jakby to dziś miał nastać dzień, w którym wreszcie wyrzucę z siebie poczucie winy, cuchnące i toksyczne, prosto na wypolerowany do niemożliwości stolik między nami.

– A więc... Jenno – przegląda moje akta – wkrótce upłynie sześć miesięcy. Jak się czujesz?

Wzruszam ramionami i zaczynam skubać nitkę zwisającą mi z rękawa. Zapach lawendowego potpourri działa mi na nerwy, podobnie jak nadmiar roślin o lśniących liściach w tej starannie zaprojektowanej przestrzeni, ale przełykam irytację, wierząc się na zbyt miękkiej sofie. Nie mogę ciągle zrzucać moich huśtawek nastrojów na leki, prawda?

– W porządku – mówię, mimo że to nie może być dalsze od prawdy.

Przepędza mnie tyle emocji, które tylko czekają, żeby się wylać, ale gdy tu przychodzę, słowa zwijają się w supły na

języku i chociaż bardzo chciałabym się przed nią otworzyć, nigdy tak naprawdę tego nie robię.

– Byłaś gdzieś w tym tygodniu?

– Wyszłam z mamą w piątek.

To żadna nowina. Robię to co tydzień. Czasami nie potrafię zrozumieć, po co w ogóle chodzę do Vanessy. Zaliczyłam już ustaloną obowiązkową liczbę spotkań, a jednak dalej stawiam się tu co tydzień. To chyba dlatego, że nie wychodzę za często, więc potrzebuję jakiegoś rutynowego zajęcia, namiastki normalności.

– A towarzysko?

– Nie.

Nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wyszłam gdzieś wieczorem. Mam zaledwie trzydzieści lat, a czuję się tak, jakbym była co najmniej dwa razy starsza. Po tym wszystkim bardzo długo nie byłam w stanie spotykać się ze znajomymi i teraz wolę siedzieć w domu. Sama. Bezpieczna.

– A emocjonalnie? Czy sprawy zaczęły się uspokajać?

Zrywam kontakt wzrokowy. Vanessa nawiązuje do mojej paranoi, a ja nie za bardzo wiem, co jej powiedzieć. Przy każdej kolejnej wizycie kontrolnej w szpitalu dawki leków, które zażywam, żeby mój organizm nie odrzucił nowego serca, są stopniowo modyfikowane, jednak lęk przywarł do mnie jak druga skóra i niezależnie od tego, jak bardzo próbuję, nie potrafię się go pozbyć.

– Pragnienie... – terapeutka zagląda do swoich notatek – ucieczki? Czy wciąż ci towarzyszy?

– Tak.

Przyływ adrenaliny sprawia, że czuję mrowienie na skórze, a pod pachami pojawiają się plamy potu. Uczucie

zagrożenia, które często mnie ogarnia, jest tak przytłaczające, że czasami naprawdę wierzę, iż jestem w niebezpieczeństwie.

– Nie ma nic nietypowego w chęci ucieczki od swojego życia, gdy człowiekowi przydarza się coś traumatycznego i trudnego do zaakceptowania. Musimy współpracować, żeby przezwyciężyć błędne koło obsesyjnych myśli.

– Nie sądzę, żeby to było takie proste. – Ten strach jest równie realny i namacalny jak bursztynowy przycisk do papieru spoczywający na biurku Vanessy. – Miałam więcej... – Nie jestem pewna, czy chcę jej o tym powiedzieć, ale patrzy na mnie teraz w ten swój charakterystyczny sposób, jakby potrafiła przejrzeć mnie na wylot. – ...epizodów.

– Czy wyglądają tak jak wcześniej? Wszechogarniające zawroty głowy? – Unosi podbródek w oczekiwaniu na odpowiedź, a ja żałuję, że w ogóle o tym wspomniałam.

– Tak. Nie tracę przytomności, ale pole widzenia się zawęża i wszystkie dźwięki są jakby stłumione. To się dzieje coraz częściej.

– A jak długo trwają takie epizody?

– Trudno powiedzieć. Pewnie kilka sekund. Ale gdy to się dzieje, jestem... – rozglądam się po gabinecie, jakby słowo, którego szukam, mogło być wymalowane na ścianie – ...przerażona.

– Poczucie braku kontroli jest przerażające, Jenno, i zrozumiałe, biorąc pod uwagę to, przez co przeszedłaś. Czy wspominałaś o tych objawach doktorowi Kapurowi?

– Tak. Mówi, że ataki paniki może wywoływać lek, który biorę, ale jeśli wszystko pójdzie dobrze na najbliższej wizycie kontrolnej, może zredukuje mi dawkę. To powinno pomóc.

– Sama widzisz. A do pracy masz wrócić... – zerka w swoje papiery – ...w poniedziałek?

– Tak. Ale na razie tylko na część etatu.

Linda i John, moi szefowie, byli bardziej niż hojni, że dali mi tyle wolnego. To przyjaciele ojca, znają mnie od dziecka i chociaż Linda powiedziała, że nie powinnam czuć się zobligowana do powrotu, tęsknię za pracą. Nie potrafię sobie wyobrazić, żebym miała zacząć od nowa gdzieś indziej. W jakimś nieznanym miejscu. Mimo to się denerwuję. Tak długo mnie tam nie było. Jakie to uczucie znowu być normalną osobą? Mam tremę na myśl o kontaktach z ludźmi. Za bardzo przywykłam do własnego towarzystwa, do siedzenia w domu, do wypełniania sobie czasu. Początkowo matka nazywała to „relaksowaniem się”; teraz mówi o „ukrywaniu się”, jednak w moim mieszkaniu ostry niepokój, który stale mi towarzyszy, wydaje się odrobinę stępiony. Ale życie toczy się dalej, prawda? Jeśli teraz nie zmuszę się, by wrócić do normalnej egzystencji, obawiam się, że już nigdy tego nie zrobię.

– Jak się czujesz w związku z powrotem do pracy?

Moje barki zaczynają się automatycznie unosić ku uszom, ale powstrzymuję wzruszenie ramionami.

– Chyba w porządku. Rodzicom niezbyt się to podoba. Próbowali mi to wyperswadować. Potrafię zrozumieć, że się martwią, ale Linda powiedziała, że mogę zacząć powolutku. Wychodzić wcześniej, jeśli za bardzo się zmęczone, i przychodzić później, jeśli zaliczę kiepską noc.

Zawsze miałam dobre stosunki z Lindą, mimo że nie odwiedziła mnie w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy. Podejrzewam, że nie wiedziała, co powiedzieć. Nikt nie wie. To, że niemal umarłam, wprawia ludzi w zakłopotanie.

– A rodzina dawcy? Wciąż próbujesz się z nimi skontaktować?

Wiercę się na sofie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wyrażałam swoje podziękowania w jednym liście za drugim, ale wszystkie odrzucał koordynator przeszczepu. Podobno nie chcący ujawniałam w nich zbyt wiele na temat tego, kim jestem i gdzie mieszkam. Ale bez tych szczegółów wszystko wydawało się takie zimne i anonimowe. W końcu zapłaciłam prywatnemu detektywowi, żeby odnalazł tę rodzinę, i napisałam bezpośrednio do nich. Zdobycie tego adresu kosztowało mnie małą fortunę, ale było warto, bo mogłam powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna i jak wiele ich decyzja oznaczała dla moich bliskich, bez ograniczania się. Nie zamierzałam znowu zawracać im głowy i nie spodziewałam się, że odpiszą, ale odezwali się natychmiast i wydawali się prawdziwie ucieszeni, że nawiązałam z nimi kontakt. Wiem, że Vanessie nie spodoba się to, co jej zaraz powiem.

Zasycha mi w ustach i sięgam po szklanke. Ręka mi drży i kostki lodu uderzają o ścianki, a woda wylewa się przez krawędź i skapuje mi na kolana, gdzie wsiąka w materiał dzinsów. Biorę łyk, świadoma tykania zegara dyskretnie zawieszono- go za moimi plecami.

– Spotykam się z nimi w sobotę.

– Och, Jenno. To jest zupełnie nieetyczne. Jak ich wyśledziłaś? Będę musiała to zgłosić, wiesz o tym.

Twarz mi płonie, podczas gdy wlepiam wzrok w buty.

– Nie mogę ci powiedzieć. Przepraszam.

– Wiesz, że odradza się kontakt. – Każde jej słowo ocieka dezaprobatą. – Zwłaszcza na tak wczesnym etapie. To może być niewiarygodnie niepokojące dla każdej ze stron i zniweczyć twoje postępy. Zwykły list z podziękowaniami by wystarczył, ale spotkanie... Ja po prostu...

– Wiem. Im powiedziano dokładnie to samo, ale chcę mnie poznać. Naprawdę chcę. A ja muszę poznać ich. Tylko ten jeden raz. Mam wrażenie, jakby tkwił we mnie ktoś inny, i chcę wiedzieć, kto to jest. Muszę wiedzieć! – Głos mi się załamuje.

– Zaczynasz mieć obsesję i to nie jest zdrowe, Jenno. Co dobrego z tego wyniknie, że będziesz wiedziała, czyje masz serce?

Barwy obrazu za jej plecami, jakiegoś współczesnego i chaotycznego dzieła, zaczynają się ze sobą zlewać, a dręczące mnie wzburzenie narasta.

– To pomoże mi zrozumieć.

– Zrozumieć co? – Vanessa pochyła się ku mnie jak dżokej na koniu, naciska, wyczuwa przełom.

– Dłaczego ja przeżyłam, a ta osoba umarła.

* * *

Na mojej skórzanej kanapie w czekoladowym kolorze widać wgniecenie świadczące o tym, gdzie spędziłam już zbyt wiele godzin. Równie dobrze mógłby tam widnieć znak informujący „tu mieszka dziewczyna bez życia”. Zapalam świeczkę o zapachu owoców leśnych, po czym opadam na swoje zwyczajowe miejsce. Po wizycie u Vanessy zawsze czuję się wyczerpana. Nie jestem pewna, czy przyczyną tego zmęczenia są emocje kłębiące się tuż pod powierzchnią, czy też wysiłek, z jakim je tłumię, gdy siedzę w jej nieskazitelnym gabinecie.

Sięgam po szkicownik leżący na stoliku kawowym. Rysowanie zawsze mnie odpręża. Puszczam album Jamesa Baya i podczas gdy on „wstrzymuje rzekę”, ja mocno stukam ołówkiem w kolano, gapiąc się na nijakie ściany i czekając na przyływ inspiracji. Zamierzałam zmienić wystrój, gdy Sam

wyprowadził się niemal pół roku temu. Sprawić, by mieszkanie wyglądało jak moje. Przykryć kremowobiały kolor słoneczną żółcią albo głęboką czerwienią: śmiałymi kolorami, których on nienawidzi. Przecież tu nie wróci, chociaż wiem, że tego pragnie. Nie chciał, żebyśmy się rozstawali, ale ja nie mogłam znieść współczucia, które widziałam w jego oczach za każdym razem, gdy na mnie patrzył. Nie mogłam znieść tego, jak skakał wokół mnie po operacji, co pięć minut pytając, czy dobrze się czuję. Nie chciałam, żeby utknął z kimś takim jak ja, „pomagał mi przez to przejść”, jakbyśmy byli starzy i nie mogli już oczekiwać od życia niczego więcej. Puszczanie go wolno było najszlachetniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam, chociaż wciąż skręca mnie w żołądku, gdy o nim myślę. Próbujemy się przyjaźnić. Wysyłamy do siebie esemesy. Piszemy na Facebooku. Ale to nie to samo, prawda?

W myślach dodaję remont mieszkania do listy rzeczy do zrobienia, do których prawdopodobnie nigdy się nie zabiorę. Dni, kiedy musiałam się oszczędzać, minęły, ale popadłam w rutynę i nie potrafię z nią zerwać i, szczerze mówiąc, boję się. Mimo wielu godzin fizjoterapii i całej góry ulotek, z jakimi odesłano mnie do domu, w moich ruchach widać wahanie. Narzuconą powolność. Ciało zdrowieje, jak twierdzi lekarz, jednak umysł jakoś nie chce w to uwierzyć i jestem przerażona, że przeholuję. Że coś pójdzie nie tak. Co wtedy zrobić? Wyobrażam sobie, jak leżę na podłodze. Nie mogę dosięgnąć telefonu. Nie mogę się poruszyć. Kiedy ktoś by się zorientował? Udaję przed mamą, że nie przeszkadza mi to, że mieszkam sama. Udaję przed wszystkimi. Nawet przed sobą samą.

Co mogłabym narysować? Przerzucam kartki szkicownika. Na początku jest wiele portretów Sama, ale ostatnio moje

rysunki stały się bardziej mroczne. Niemal złowieszcze. Drzewa z poskręcanyimi gałęziami, oczy lśniące w ciemnościach, sowa o świdrującym spojrzeniu. Wzdycham. Być może Vanessa ma rację, że niepokoi się o moje zdrowie psychiczne.

Słyszę dźwięk przychodzącej wiadomości. To esemes od Rachel i wiem bez otwierania go, że zapyta, co robię później. A ja napiszę, że dzisiaj postanowiłam posiedzieć w domu i żeby wypić za moje zdrowie. Odgrywamy to małe przedstawienie co tydzień. To samo za każdym razem, mimo że czasami człowiek ma ochotę na inne zakończenie. „Mogłabym wyjść”, przebiega mi przez głowę, ale potem odpycham od siebie tę myśl. Próby powrotu do starych nawyków wydają się bezsensowne. Nie jestem już tą samą osobą co wcześniej, a zresztą ludzie też traktują mnie teraz inaczej, unikają mojego wzroku, nie wiedzą, co powiedzieć. Zobaczę się z Rachel w pracy, w poniedziałek.

Niemal sześć miesięcy temu ktoś umarł, żebym ja mogła żyć. Mój świat stał się tak mały, że czasami mam wrażenie, iż nie mogę oddychać. Kim była osoba, która straciła dla mnie życie? Mocno zaciskam powieki, ale ta myśl wciąż mnie zadręcza i nie wiem, jak się jej pozbyć. Drzę i podchodzę do okna. Wiatr jest lodowato zimny, ale jestem wdzięczna za świeże powietrze. Wróciłam do domu wiele tygodni temu, jednak mam wrażenie, że ciężka szpitalna woń osiadła mi w płucach i niezależnie od pogody zawsze siedzę przy otwartych oknach. Wyglądam przez żaluzje w mrok i dreszcz przebiega mi po kręgosłupie. Jakiś cień przesuwają się w otworze drzwiowym po drugiej stronie ulicy i ogarnia mnie pragnienie ucieczki, o którym wspominałam Vanessie. Oddech przyspiesza, ale na ulicy panuje spokój. Cisza. Zamykam okno, opuszczam

żaluzje i otula mnie przyćmione światło salonu. Mój świat się kurczy; podobnie jak moja pewność siebie.

Wracam na sofę, a dłonie trzęsą mi się za bardzo, bym mogła utrzymać w palcach ołówek. „Jestem bezpieczna”, powtarzam sobie. Więc dlaczego tak się nie czuję?